

Joanna
CHMIELEWSKA

**Większy
kawałek
świata**

KLIN

Joanna
CHMIELEWSKA

**Większy
kawałek
świata**



Redakcja: Ewa Kłosiewicz
Korekta: Małgorzata Kot
Projekt okładki: Natalia Smoleń
Zdjęcie autorki: Witold Gawliński

Copyright by © Wydawnictwo Klin,
Warszawa 2015

ISBN 978-83-62136-79-7

Wydawnictwo Klin
ul. J. Sobieskiego 10 m 72
02-957 Warszawa
tel. +48 501 686 786
e-mail: m.g.klin@op.pl
www.wydawnictwoklin.pl

Wiosna tego roku eksplodowała nagle, około połowy maja, i trwała zaledwie kilka dni, po czym od razu przeistoczyła się w pełnię lata. Słupki rtęci na termometrach polazły w górę i zamarły, nie wykazując najmniejszej chęci opadnięcia w dół. Na bezchmurnym niebie świeciło rozradowane słońce, z dnia na dzień bardziej intensywne, z godziny na godzinę gorętsze, rozpalając nieznośnym żarem mury miast, ziemię i powietrze. W połowie czerwca już nawet noc przestała przynosić ochłodę, pogoda utrwaliła się ostatecznie i rozsloneczniony świat począł dyszeć z gorąca i opływać potem.

Ostatniej niedzieli czerwca długa, szara szosa w pobliżu Łomży była przeraźliwie pusta. Wydawała się wręcz wymarła, nieużywana, tak jakby leżała gdzieś na pustyni, a nie w gęsto zaludnionym, cywilizowanym kraju. Słońce stało w zenicie, powietrze nad asfaltem drgało od gorąca, najłżejszy nawet powiew nie mącił

upalnego bezruchu. Płynący z nieskalanie błękitnego nieba straszliwy żar zalewał ową pustą szosę, płytkie rowy na poboczach, rosnące w nich nieco przykurzone zielsko, rozciągające się daleko łany zbóż i kwitnące w koniczynie maki oraz dość malowniczą grupę na skraju pól, usytuowaną w nędznym cieniu młodego drzewka, rosnącego nad rowem. Grupa składała się z dwóch siedemnastoletnich osób płci żeńskiej o posępnie zatroskanych obliczach i potężnej góry nader kolorowych pakunków.

Tereska Kępińska i Okrętka Bukatówna rozpoczęły wakacje.

Siedziały nad tym rowem już dobre półtorej godziny, w ich postawie zaś wyraźnie dawała się dostrzec zrezygnowana beznadziejność w pełni rozkwitu. Nic nie wskazywało na to, żeby okropna sytuacja, w jakiej się właśnie znalazły, miała ulec jakiegokolwiek odmiennie, nie tylko w ciągu najbliższych godzin, ale zgoła dni i tygodni. Ruch na szosie całkowicie zamarł, samochody, które mogłyby je ewentualnie zabrać, przejechały poprzedniego dnia albo wczesnym rankiem, z cięższych wozów pokazywały się tylko niekiedy cysterny i chłodnie i żaden stosowny dla nich środek lokomocji nie pojawiał się w polu widzenia. Dodatkowo komplikował sprawę bagaż, który wykluczał posłużenie się wehikułem o niewielkiej pojemności.

Bagaż składał się z czterech dużych brezentowych worków, trzech niebieskich i jednego zielonego, z jednego plecaka, torby turystycznej i wielkiej paki, owiniętej kolorowym papierem w kwiatki i owiązanej sznurkiem. Do zielonego worka przyczepione były wędki w pokrowcu, z uchwytu torby zaś zwisała siatka,

z której wystawała rączka od patelni, rękojeść siekiery i kapsle czterech butelek wody mineralnej. Całość, na oko biorąc, przekraczała możliwości transportowe dwóch silnych tragarzy.

Siedzenie nad rowem i kontemplowanie w narastającym upale pustej szosy nie leżało, rzecz jasna, w zamiarach Tereski i Okrętki. Wcale nie chciały jechać autostopem. Wcale nie chciały łapać żadnych przygodnych pojazdów. O poranku tegoż dnia, rozsądnie i zgodnie z planami, wyruszyły na trasę, której celem miał być Augustów, samochodem marki Volkswagen 1600, obszernym, wygodnym, aczkolwiek dość wiekowym, należącym do jednego ze znajomych ojca Tereski. Znajomy miał interes w Augustowie i przy okazji obiecał zabrać Tereskę i Okrętkę razem z ich bagażem. Wyruszyli zatem wczesnym rankiem i wszystko byłoby dobrze, gdyby nie to, że właśnie tutaj, w tym strasznym miejscu za Łomżą, spotkało go nieszczęście.

Jechał dość szybko, szosa była pusta, z daleka dojrzał wędrujące poboczem gęsi i na wszelki wypadek przyhamował. Ściśle biorąc, chciał przyhamować. Siedząca z przodu obok niego Tereska ujrzała, że nagle zbladł i jakby zdrętwiał.

— Rany Boga! — wyszeptał chrypliwie. — Nie mam hamulców!!!

Tereska zdrętwiała również i nic nie odpowiedziała. W przerażonym milczeniu dojechali do miejsca, gdzie samochód zatrzymał się sam. Właściciel znarowionej z nagła maszyny otarł pot z czoła i oparł się o kierownicę.

— No to koniec — powiedział gdzieś w przestrzeń tragicznym głosem. — Szlag trafił pompę hamulcową,

a ręczny już dawno źle działa. Bardzo was, moje drogie, przepraszam, ale dalej nie pojedziemy. Koniec podróży.

Tereska i Okrętka w pierwszym momencie poczuły śmiertelne oburzenie i zgodnie doznały gwałtownej chęci zażądania, żeby wobec tego doniósł na miejsce ich bagaż na plecach, skoro się bowiem zobowiązał dostarczyć całość do Augustowa, powinien obietnicę spełnić. Po chwili jednakże zreflektowały się, zmieniły nastawienie i szlachetnie zrezygnowały ze swoich roszczeń. Nieszczęsny właściciel pozornie porządnego samochodu był tak zrozpaczony, tak bezgranicznie przynębiony, pełen skruchy i bezradny, że już nie miały serca go dobijać. Życzliwie i stanowczo zapewniły go, że dadzą sobie radę bez najmniejszych trudności, on zaś może się zająć wyłącznie samochodem.

— Nie będziemy kopać leżącego — mruknęła wzniosłe Tereska, a Okrętka przyświadczyła jej kilkakrotnie kiwnięciem głową.

— Ja i tak nie wyobrażam sobie, co on robi — odmruknęła ze współczuciem.

Właściciel pozbawionego hamulców pojazdu również sobie tego nie wyobrażał. Pojawiły się przed nim trudności zgoła nie do zwalczania. Powinien oczywiście dotrzeć do jakiegoś odpowiedniego warsztatu, nie o własnych siłach jednakże, tylko na sztywnym holu. Sztywnym holem dysponuje na ogół wyłącznie pomoc drogowa. Po pomoc drogową nie było skąd zadzwonić. Przytłaczający upał narastał. Tereska i Okrętka pętały się dookoła jak wyrzut sumienia. Gdyby na polu stał jakikolwiek samotny, pozostawiony wóz, nieszczęsny człowiek prawdopodobnie ukradłby z niego dyszel, po czym usiłowałby zamontować go do swojego volkswa-

gena. Siłą wymógłby holowanie na byle którym przejeżdżającym samochodzie, pod warunkiem oczywiście, że dyszel dałoby się przyczepić do obu pojazdów. Samotnego wozu na polu nie było, dyszla nie było, ratunku żadnego nie było, czas płynął, upał rósł, znajomy popadł w desperację i już postanowił sam wracać na pierwszym biegu z szybkością dziesięciu kilometrów na godzinę, kiedy nagle stał się cud. Na szosie znienacka pojawiła się żółta furgonetka wymarzonej pomocy drogowej, zdążająca właśnie do Warszawy.

Cudu nie można było zlekceważyć. Pełen skruchy, troski i niepokoju znajomy przeniósł bagaże Tereski i Okrętki pod drzewko, poganiany przez pomoc drogową, której się spieszyło, wsiadł do swojego volkswagena i odjechał, połączony sztywnym drągiem z żółtą furgonetką.

W ten sposób Tereska i Okrętka o godzinie jedenastej znalazły się za Łomżą, w cieniu drzewka na zboczu rowu, razem z całym swoim dobytkiem, i znajdowały się tam nadal o wpół do pierwszej w południe. Chwilowa ulga, wynikła z faktu pozbycia się zmaltretowanego znajomego, który wprowadzał atmosferę okropnego zdenerwowania, skończyła się już dawno i nie pozostał po niej żaden ślad. Dawno też znikła nadzieja na rychłą zmianę miejsca pobytu. Przejeżdżały wprawdzie rozmaite prywatne samochody, ale ani jeden z nich nie zareagował na rozpaczliwe machanie. Żaden nawet nie zwolnił, czemu trudno się dziwić, wszystkie bowiem załadowane były do ostatecznych granic bagażami, psami, dziećmi, osobami dorosłymi i nic więcej nie mogło się już w nich zmieścić. Na domiar złego pojawiały się coraz rzadziej, a od dłuższego czasu przestały się poja-

wiać zupełnie. Świat zamarł, rozpalony dławiącym żarem, jedyny ruchomy element stanowiły pszczoły, których brzęczenie w jakiś tajemniczy sposób wzmagало gorąco.

— Moim zdaniem, zostaniemy tu już na zawsze — powiedziała grobowym tonem Okrętka po długiej chwili milczenia. — Żadna ludzka siła nas stąd nie ruszy.

— Może znajdzie się jakaś nieludzka — mruknęła Tereska gniewnie. — A w ostateczności mamy jeszcze nogi. Możemy iść piechotą.

Okrętka odwróciła głowę i przyjrzała się jej dziwnym wzrokiem.

— Doskonały pomysł. Iść piechotą z tym całym nabojem...

— Na głowie nosi się większe ciężary.

— Zdaje się, że głowa posłużyła nam tylko do tego, żeby na nią upaść, i do niczego innego już się nie przyda. Upał ci się rzucił na mózg. Niby jak ty to sobie wyobrażasz?

— Co?

— Noszenie na głowie tego, co tu leży. Wydaje ci się, że mamy po dwie głowy?

— Nic mi się nie wydaje. Na litość boską, przestań krakać i zacznij myśleć twórczo! Nigdzie nam się nie spieszy, mamy mnóstwo czasu i szalone możliwości!

Okrętka wzruszyła ramionami i oparła się wygodnie o niebieski worek.

— Mów za siebie — oświadczyła z rozgoryczeniem. — Moje możliwości zdechły, przytłamszone ciężarem tych gratów. W ogóle nie rozumiem, jakim sposobem środek cywilizowanego kraju mógł się nagle zamienić

w pustynię. Gdzie są te ciężarówki, pod które ciągle ktoś wpada?

— Przecież jest niedziela — burknęła Tereska niechętnie i oparła się o drugi niebieski worek.

Znów zapadło milczenie. Żar lał się z nieba ze straszliwym natężeniem. Okrętka powolnym ruchem uniosła butelkę po wodzie mineralnej, obejrzała ją i wypila ostatnie krople.

— To nie jest trawa — wymamrotała nagle niewyraźnie. — To jest taki gorący, sypki piasek, to drzewko to jest fatamorgana, a tak naprawdę to dookoła nie ma nic, tylko piasek i piasek, i musimy się doczołgać do oazy...

— Zwariowałaś? — przerwała ze zdumieniem Tereska.

— Nie, wyobrażam sobie pustynię. Jak pomyślę, że mogłybyśmy tak zostać na środku pustyni, od razu robi mi się przyjemniej. Coś jedzie.

Tereska oderwała plecy od worka, wyprostowała się i wyteżyła wzrok. Daleko na szosie widać było zbliżający się samochód. W pierwszych chwilach oczekiwania taki widok wywoływał wybuch nadziei, ożywienie, wypadły na szosę i gwałtowne gesty. Teraz wiadomo było, że nie oznacza on nic i może przynieść tylko następne rozczarowanie.

— Trabant — powiedziała ze zniechęceniem. — Cały dach zawalony, beznadziejne.

Ponuro oparły się znów o worki. Na szosie zapanowała kompletna pustka. Morderczy upał trwał, wydawało się, że cały świat znieruchomiał na zawsze.

— Przy takiej pogodzie jest dla mnie pociechą, że nie mamy żagla — powiedziała melancholijnie Okrętka

po bardzo długiej chwili. — Stałybyśmy w miejscu jak mur i byłoby przykro.

— Jasne — przyświadczyła Tereska zgryźliwie. — A tak, bez żagla, pędzimy przed siebie jak strzała i jest nam szalenie przyjemnie.

— W każdym razie nic nam się nie marnuje.

— Owszem, składak. I margaryna się roztopia.

— Użyj czasu przeszłego. Już dawno się roztopiła. Czy ten samochód naprawdę nie mógł się mu zepsuć nad jakąś wodą? Już wszystko jedno jaką!

— Powycinali drzewa. Kiedyś podobno szosy były powysadzane drzewami, nawet ja sama pamiętam. Wycinanie drzew jest barbarzyństwem...

— Coś jedzie. Małe i obrzydliwe.

Tereska uniosła się nieco, popatrzyła i kiwnęła głową.

— I na dachu ma tobół jak stodoła — uzupełniła. — Na litość boską, gdzie są ci z przyczepami?!!!!...

Z posępnym wstrętem obejrzała przejeżdżający samochód, załadowany do granic wytrzymałości. Zaczął w niej rodzić się bunt przeciwko światu. Od miesiąca już palące słońce i upalna pogoda karmiły jej wyobraźnię czarownymi wizjami cienistych lasów i chłodnej, przejrzystej wody jezior, od miesiąca z narastającą tęsknotą czekała chwili, kiedy znajdzie się w wymarzonej pejzażu; dziś rano miała pewność, że dotrze tam za kilka godzin, i teraz kontrast między wizjami a rzeczywistością powoli doprowadzał ją do szaleństwa. Bezradne siedzenie nad zakurczonym rowem, pod rozpalonym do białości niebem, nie wiadomo jak długo, prawdopodobnie przez całe wieki — to było najgorsze ze wszystkiego, co ją mogło spotkać. Poczwała, że pod

następny samochód chyba się rzuci albo wykona barykadę w poprzek szosy z tobołów, siłą powyciąga pasażerów zajmujących miejsce, zmusi kierowcę do jazdy, zagrozi mu czymś, najlepiej siekierą...

Okrętka dysponowała wprawdzie nieco większą wytrzymałością na suchy upał, ale za to łatwiej popadała w pesymizm. Oczyma duszy coraz wyraźniej widziała białe szkielety, przysypane piaskami pustyni. Krążyły nad nimi sępy.

— Więc ja nie wiem — powiedziała nagle w pośpejnej zadumie. — Ale to zaczyna być nie do zniesienia. Już nie mówię o tej margarynie, ale woda mineralna niedługo nam się skończy i umrzemy z pragnienia...

— Mamy dwa litry herbaty — przerwała Tereska złym głosem.

— Poza tym dostaniemy udaru słonecznego — ciągnęła Okrętka, wciąż zamyślona. — Zaczynam być gotowa na wszystko, żeby tylko odczepić się od tego miejsca, które chyba ktoś przeklął. Całe szczęście, że nie można iść z tymi tłumokami piechotą, bo inaczej chyba bym poszła. Niedobrze mi się robi, jak pomyślę, że będziemy tu siedziały jeszcze i jutro, i pojutrze, i za miesiąc...

Tereska popatrzyła na nią dziwnym wzrokiem. Wyglądała tak, jakby w niej coś rosnęło i gulgotało, i teraz nagle, na dźwięk tych słów, przełamało wszelkie zapory i wybuchło.

— Owszem, można — powiedziała z dziką stanowczością i podniosła się z miejsca. — Ogólnie biorąc, wszystko jest możliwe. Dość tego kretyńskiego siedzenia w nieróbstwie na rozpalonym piecu! Tu nigdy w życiu nic nie przyjedzie. Możemy przenieść kawałek

część pakunków, potem wrócić i przenieść następne, potem przenieść następne i tak dalej, aż do skutku. Chodź, spróbujemy!

Okrętka ocknęła się z zamyślenia i spojrzała na nią ze zgrozą, nie wierząc własnym uszom.

— Zwariowałaś? — spytała z przestachem.

— Jeszcze nie, ale za parę minut zwariuję z pewnością. Do najbliższej wody mamy ledwo parę kilometrów, jakaś rzeczka tu płynie. To idiotyzm, żeby nie umieć przejść paru kilometrów, już byśmy dawno tam byli, gdybyśmy ruszyły od razu, zamiast siedzieć tu jak zmurszałe, tępe pnie! Bierz coś! Idziemy!

Okrętka przeraziła się śmiertelnie, święcie przekonana, że Tereska oszalała z gorąca. Pomysł wydał jej się absolutnie koszmarny. Wlec się na piechotę z tymi potwornymi ciężarami... Nie przejdą więcej niż pół kilometra, padną trupem!!!

Tereska ze straszliwą, nagle wybuchłą energią już prznosiła niebieski worek przez rów. Oparła go o słupek drogowy i wróciła po następny.

— Rusz się wreszcie! Dostyc tego gnicia!

— Ja nie gniję — zaprotestowała słabo Okrętka, podnosząc się niemrawo. — Ja wysycham. Gnije się od wilgoci...

Pusta i wymarła dotychczas szosa jakby nieco ożyła na niewielkim odcinku. Ruch odbywał się wahadłowo, od słupka do słupka. Całość wymagała zaledwie dwóch kursów tam i z powrotem, przy czym kurs z powrotem można było uważać za wypoczynkowy.

— No, proszę — wydyszała Tereska przy czwartym kolejnym słupku, opierając się na worku z namiotem.

— Według moich wiadomości, mamy z głowy czterysta metrów. Bardzo dużo. Do rzeczki już niedaleko.

— A dokąd ta rzeczka płynie? — spytała żałośnie Okrętka.

— Nie wiem. Zdaje się, że do Pisy. Pisą można się dostać gdzieś tam. Nie wszystko ci jedno?

— Nie wiem. Wolałabym chyba mieć jakąś konkretną nadzieję.

— Przy następnym słupku obejrzymy mapę. Idziemy!

Przy następnym słupku zdecydowały się dojść do jeszcze następnego, widać tam było bowiem jakieś krzewy, między którymi błyskała woda. Woda okazała się bajorkiem dla kaczek, którego zasadniczą treść stanowiła gnojówka, wypływająca ze stojących wśród zieleni zabudowań gospodarskich, niemniej jednak była wodą. Bagaż malowniczo zwaliły wokół słupka i Tereska wyciągnęła z plecaka małą mapkę samochodową. Obie równocześnie pochylały się nad nią. Okrętka z rozgoryczeniem popatrzyła na malutki napis: Augustów.

— Gdzie my właściwie jesteśmy? — spytała niepewnie.

— Gdzieś tu. Za Łomżą. Łomża była, pamiętam.

— Była. Czekaj, niech popatrzę... Ale tu się przecież te szosy rozchodzą, a od Łomży do tej pory nic się nie rozchodziło.

— No, to widocznie jesteśmy jeszcze przed tym. Rozejdą się gdzieś tam przed nami.

Okrętka uniosła nagle głowę znad mapki i popatrzyła na Tereskę z wyrazem absolutnej paniki.

— Na litość boską, czyś dostała pomieszania zmysłów?! Przecież rzeczka jest tu! A skoro my jesteśmy tu, to do tej rzeczki jest co najmniej piętnaście kilometrów!!!

Tereska spojrzała na nią niespokojnie i wydarła jej mapę.

— Co ty głędzisz... A! Możliwe. No, to widocznie się pomyliłam, zdawało mi się, że jesteśmy dalej...

Okrętka poczuła, że robi jej się słabo. Tereska wpatrywała się w mapę z bezradną rozpaczą.

— Skoro jesteśmy tu... a nie dalej... to właściwie nie trzeba było iść do przodu, tylko wracać. Przez Łomżę przepływa Biebrza, ta rzeczka też wpada do Biebrzy. Miałyśmy bliżej. Prawdę mówiąc, ciągle mamy bliżej...

Przez Łomżę przepływa wprawdzie Pisa, a nie Biebrza, ale na owej mapie niełatwo było to stwierdzić, Pisa wyglądała jak Biebrza.

— No nie! — powiedziała Okrętka z jękiem. — Ja nie wracam! Tego już dla mnie za wiele! Jeżeli znajdę się w tym samym miejscu, z którego wyszłam, padnę trupem! I mogę cię zapewnić, że ty też!

Tereska niejasno poczuła, że przyjaciółka ma rację. Nawet gdyby ta Łomża razem ze swoją Biebrzą znajdowała się o kilometr, ona nie cofnie się do tamtego przekłętego miejsca za żadne skarby świata! Już raczej woli iść piechotą do samego Augustowa...

Odległość od rzeczki wydawała się przerażająca, przebyciem sześciuset metrów obie poczuły się kompletnie wyczerpane, topograficzna pomyłka ogłuszyła je i wyzuła z resztek sił. Okrętka popadła w beznaudzienne przygnębienie, przelazła przez rów, ponurym

wzrokiem popatrzyła na kacze bajorko i usiadła na kępie trawy, oświadczając, że przed podjęciem dalszych decyzji musi się zastanowić. Zrezygnowana Tereska usiadła obok niej.

— Niepotrzebnie pokazałam ci tę mapę — stwierdziła. — Tak jakby nie można było do niej zajrzeć za parę kilometrów! Szłabyś jeszcze i szła, szosa jest prosta i nie sposób zabłądzić, a tak to już w ogóle nie wiadomo, co robić.

— Powiesić się — doradziła posępnie Okrętka.

— Nie wiem na czym...

— Ewentualnie możemy się utopić. Jest okazja.

Tereska obejrzała się na bajorko.

— A owszem, niezła. Zwracam ci uwagę, że to jest woda. Chciałyśmy dotrzeć do wody, nie?

— Aha. Jeżeli posiedzimy tu do jutra, nie ręczę, czy nie spróbuję się w tym wykąpać. Może się zatruję na śmierć i przynajmniej będzie ze mną spokój.

— Kaczki żyją...

Morderczy upał trwał. Siedziały w milczeniu, czując, jak lejący się z nieba żar przepala je na wylot. Nieznośnie chciało im się pić, a widok bajorka jakoś jeszcze zwiększał pragnienie. W torbie zostały dwie ostatnie butelki wody mineralnej, oszczędzane na czarną godzinę. Wpatrzona w porozrzucane na skraju szosy toboły Okrętka pomyślała nagle, że czarna godzina właśnie nadeszła i nie ma na co dalej oszczędzać. Była to jedyna myśl, jaką udało jej się sprecyzować. Pchnięta tą myślą podniosła się niemrawo i mimo woli rzuciła smętne spojrzenie na opustoszałą zupełnie szosę.

— Coś jedzie — powiedziała apatycznie.